



Trudne dziecko Boga

Podzielił się najskrytszymi historiami ze swojego życia, aby stać się przestrogą dla młodych ludzi, którzy czasami zbyt beztrosko obchodzą się ze swoimi ciałami i psychiką.

Podzielił się najskrytszymi historiami ze swojego życia, aby stać się przestrogą dla młodych ludzi, którzy czasami zbyt beztrosko obchodzą się ze swoimi ciałami i psychiką.

Marka spotkałem na obozie w Zatoniu. Wesół, ciepły i miły chłopak w żaden sposób nie wyglądał na to, że kiedyś tkwił w bagnie narkotyków. Zgodził podzielić się najskrytszymi historiami ze swojego życia, aby stać się przestrogą dla młodych ludzi, którzy czasami zbyt beztrosko obchodzą się ze swoimi ciałami i psychiką.

Polska lat 80 tych. W sklepach puste półki. W sercach niepokój o przyszłość. W powietrzu unosi się smutna nuta beznadziei. Szare blokowiska i popękane płyty chodnikowe nie napawają optymizmem. Jedni czerpią sens życia z walki z systemem, inni ze zdrowych więzi rodzinnych, ale są i tacy, którzy tego sensu nie widzą w ogóle.

Ojciec Marka jest alkoholikiem. Wcześnie umiera. Matka ciężko pracuje na trzy zmiany, aby utrzymać jego i brata. Zazwyczaj nie ma jej w domu. Często płacze, gdyż ciężko jej związać koniec z końcem. W obecności dzieci stara się być silna i optymistyczna. Marek wspomina ją jako dobrą kobietę, która bardzo starała się być dobrą matką. Wychowuje go jednak ulica i tam uczy się życia – złego życia. Wypróbowaną i łatwo dostępną atrakcją jest alkohol. Dla koneserów są narkotyki. Ci, którzy ćpają to awangarda. To oni zażywają pełni „szczęścia i wolności”. Tak się przynajmniej czują. Marek jest jednym z nich. Jeszcze nie wie, że to co tak przyjemnie się zaczyna, tak podle się kończy.

Chłopak gra w przykładowej drużynie piłkarskiej. Zarabia równowartość pięciu pensji górniczych. Ma dużo pieniędzy i „przyjaciół”, którzy do niego lgną, bo kupuje im „działki”. Sam każdego dnia bierze. Gra w piłkę powoli staje się fikcją. Zwalnia się z meczy, unika treningów. Grając na gitarze w zespole punkowym wciąż jednak należy do elity.

Markowi i jego dziewczynie rodzi się dziecko. Mają po 17 lat. Z materialnego punktu widzenia mają warunki, by stworzyć szczęśliwą rodzinę. Ewa liczy, że małżeństwo go uzdrowi i wyprowadzi na prostą drogę. Myli się jednak. Emocje powichrowane przez używki nie kierują

go na rodzinne szlaki. Dziecko jedynie komplikuje młodzieńczy związek.

Pomimo wysokiej pozycji w towarzystwie, Markowi jest źle. Próbuje ogarnąć swoje życie, ale zmienne emocje, brak wzorców nie pozwalają mu wyłonić stabilnego szkieletu, na którym mógłby coś zbudować. W tym co robi nie ma logiki ani rozsądku. Kierunek w życiu wyznaczają mu jego oczy i odczucia. Brak mu wewnętrznej mądrości. Dopada go hasło: „Żyj szybko, kochaj mocno i umieraj młodo”. Czuje, że się stacza. Boi się, bo chce żyć, ale nie potrafi. Ma silną depresję. Jest mu szkoda Ewy, bo dziewczyna jest dobra. Nie ćpa, nie pije. Kocha dom. Jest jednak bardzo nieszczęśliwa.

„Dlaczego ja to wszystko robię?” Marek zadaje sobie pewnego dnia pytanie. Rodzi im się drugie dziecko. Spogląda na małego Artura i Dawida i jakby przez mgłę przedziera się do jego świadomości myśl, że normalne życie, z żoną i dziećmi jest fajne.

Jego dobry kolega z osiedla, też Marek, pojechał leczyć się do ośrodka dla narkomanów i właśnie z niego wrócił. Już nie ćpa. Kumple mówią, że mu odbiło i chodzi teraz z Biblią w rękę.

Narkomanów obiega przerażająca wieść o wirusie HIV. Marek nagle dowiaduje się, że jeden kolega jest „trafiony”, potem drugi i trzeci. Zarażanie powoduje kompot - heroina produkowana metodą domową podawana w brudnych strzykawkach. Sam ją rozprowadza. Jest tania, a przez to łatwo dostępna. Życie komplikuje się coraz bardziej.

W tym czasie uczy się w szkole w Tychach. Ćpa, cierpi samotność, poczucie winy i beznadzieję. Narkotyki pomagają mu ukoić ból. Często myśli o początkach „przygody”, że strzykawką. Jedni brali raz i mówili: „Dziękuję”. Większość jednak przekroczyła drzwi do świata ułudy i w nim pozostała. Brali twardo do końca. Już ich nie ma. Mieli po 20 lat. Umierali zarówno chłopcy i dziewczyny. Marek naliczył ich pięćdziesięcioro. „Byli moją rodziną. Ten worek otworzył się, gdy miałem 17 lat. Nigdy nie chodziłem na ich pogrzeby. Bałem się. Byłem bezsilny wobec nałogu” – wspomina.

Wśród tych co „grzali” były osoby z kiepskich domów, ale i z „ustawionych” rodzin. Zdarzało się, że niektórzy dostawali pieniądze na działkę od rodziców. Znajdowali je codziennie rano na stole. „Ci co mieli większy komfort ćpania szybciej umierali. Ci co dostawali kopa od rodziców i lądowali na ulicy częściej opamiętywali się.” – mówi Marek.

W ręce wpada mu ulotka przedstawiająca człowieka zakładającego różne maski. Obok jest droga prowadząca w kierunku krzyża. Marek jest u znajomego. Właśnie sobie „puknęli”. Pomimo zamroczenia do jego świadomości dociera myśl, że ta ulotka jest o nim. Niestety to nie sumienie, ale utrwalone nawyki wyznaczają styl życia.

Obiecuje sobie, że jak spotka drugiego Marka, tego co właśnie ukończył leczenie to powie mu co myśli o jego nawróceniu. Jednak w konfrontacji z tamtym zamiast wyzywać go od idiotów mówi coś zupełnie przeciwnego: „Marek, nawróć mnie, proszę, bo ginę.” – błaga pełen rozpacz.

W nocy intensywnie myśli. Nie śpi. Tęskni za wolnym życiem. Czuje odpowiedzialność za rodzinę. Skorupa pęka. Serce wali mu mocno. Nie wie jednak co i jak ma robić. Chce się spotkać z drugim Markiem. Umawia się z nim na wtorek na 16:00. Tego dnia bierze wózek z małym Arturem i wychodzi z domu. Po drodze chce jednak jeszcze coś załatwić. W centrum Pszczyny znajomy produkuje towar. Zatrzymuje się u niego na chwilę. Wkrótce odpływa. Zapomina o spotkaniu i o całym świecie. O 19:00 wychodzi z wózkiem z bramy i natrafia na Marka.

- Gdzie byłeś? Szukam cię od kilku godzin – mówi tamten.

Idą razem do domu. Zaczyna się od awantury z żoną.

– Gdzie byłeś?! Co robiłeś?! Czy Artur coś jadł?! – Marek nic nie pamięta. Nie wie czy Artur coś jadł.

Idą do drugiego pokoju. Rozmawiają. Wyleczony Marek opowiada o duchowym wyzwoleniu. Po dłuższej rozmowie obaj padają na kolana. Modlą się. Mają po 22 lata. Chory Marek po modlitwie „unoszą się metr nad ziemią”. Przestaje brać. - To był taki feeling, że wszystkie narkotyki razem do kupy nie dawały takiego speedu. – wspomina.

Ewa widzi zmiany. Powstaje grupa czterdziestu młodych ludzi, którzy wspólnie modlą się. To co robią to nie religia. Są z dala od teologii i kościoła. Jest to ruch serc. Nikt nie myśli o obciachu. Ludzie są ratowani. Kolejne osoby wychodzą z nałogu. W przypadku Marka wolność trwa jednak tylko trzy miesiące. Znowu zaczyna się staczać. Ewa to widzi i jest przerażona. Ostatniego dnia października każe mu się wyprowadzić z mieszkania i wiąże się wtedy z jego dobrym kolegą.

Wszystko się wali. Marek traci rodzinę i mieszkanie. Wyrzucają go z drużyny piłkarskiej z powodu braku formy. W dodatku pracuje w jednej brygadzie z Olkiem, nowym chłopakiem swojej żony. Kilka razy chce go zepchnąć z budynku. Postanawia pójść po pomoc do kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Tam dostaje nocleg i wsparcie.

Marek próbuje poukładać sobie życie. Zapisuje się do ogólniaka. Wcześniej nie było na to czasu. Nie może jednak uporać się psychicznie z rozpadem związku. Zaczyna znowu brać. Czuje się niezrozumiany. Ludzie w kościele nie potrafią mu pomóc. Pytają go jedynie zdziwieni: „To ty bracie wciąż bierzesz? Dlaczego?”, a on sam nie potrafi sobie odpowiedzieć

na to pytanie. Potem obraża się na wszystkie osoby, które mu dotąd pomogły, kłóci się z nimi, a w końcu okrada swojego przyjaciela na dużą kwotę pieniędzy. Pali wszelkie mosty. Znowu idzie ostro w narkotyki. Przez kilka lat jest w ciągu. Ludzie nie chcą z nim przebywać. Jego twarz przeraża. Ma ksywę „Kiler”. Jedynie płacz matki jest dla niego bodźcem do zmian, większym niż wszelkie napomnienia, uwagi, krzyki. Podczas, gdy ona śpiewa pieśni nadziei, on skręca się na głodzie w strachu przed policją. Więzienie ratuje mu życie. Niestety po wyjściu na wolność, pierwsze kroki kieruje do „bajzlu”, aby wziąć działkę. Więzienie chroniło go przed braniem, ale nie zmieniło jego nawyków. Psychicznie jest wciąż uwikłany w mechanizmy nałogu.

Nadchodzi moment przełomowy. Spotyka dziewczynę, którą znał z „bajzlu”, która kiedyś była na dnie. Prostituowała się dla narkotyków. Teraz jest odmieniona. Wygląda inaczej. Inaczej mówi. To dodaje mu nadziei i otuchy. Poza tym nie może zapomnieć o trzymiesięcznym okresie wolności jaki pojawił się po spotkaniu ze zdrowym Markiem. Zaczyna wracać. Myśli o ośrodku. Trudno jest tam jednak się dostać. W załatwienie ośrodka trzeba włożyć dużo wysiłku, a potem czeka się miesiącami czy nawet latami. Marek w tym czasie nie potrafi bez narkotyków zawiązać nawet sznurowadeł. Ćpa już nie dla przyjemności, ale po to, aby móc funkcjonować. Jest coraz gorzej. Jeden z kolegów odstępkuje mu miejsce w ośrodku w Wapiennicy. Marek idzie na detoks. Sprawy idą w dobrym kierunku. Jednak tuż przed wyjazdem do ośrodka znowu bierze. To mu może zamknąć drzwi. Na szczęście przyjmują go dopiero następnego dnia kiedy już dochodzi do siebie.

W ośrodku uczą go rozumieć mechanizmy uzależnienia, w które się uwikłał. „To ty masz znaleźć sposób na swoje wyleczenie.” – mówią mu.

Po pewnym czasie cała grupa jedzie na wycieczkę do Kołobrzegu. Jeden z uczestników terapii jest w ośrodku wbrew własnej woli. Strasznie się męczy. Chce się wydostać. Marek przypadkiem przez kilka chwil znajduje się z nim sam na sam. Wypalają razem „trawę”. Chłopak, który poczęstował Marka trawą zostaje wyrzucony z ośrodka, bo zrobił jakiejś dziewczynie dziecko. Po kilku miesiącach stara się ponownie o przyjęcie. Społeczność zadaje mu pytania. Wówczas wychodzi na jaw kwestia wspólnego palenia trawy w Kołobrzegu. Teraz z kolei wylatuje Marek. Prawo w ośrodku jest proste, jak 10 Przykazań – pełna wstrzeźliwość. Marek nie kończy terapii. Sięgając po skręta z marihuaną podjął decyzję.

Na zewnątrz nie może odnaleźć siebie. Z ludźmi na ulicy rozmawia się inaczej niż z tymi w ośrodku. Nie słuchają, przerywają, nie zastanawiają się za wiele. Biegają, nie mają czasu, aby wysłuchać, a jak wysłuchają to źle rozumieją i potem obgadują. Ludzie w ośrodku byli wspólnotą. Ufali sobie nawzajem i troszczyli się o siebie. Byli do bólu uczciwi i szczerzy. Chłopak opowiadał o tym jak odcinał swojego ojca ze sznura. Drugi o tym jak zabił swojego brata. Marek uważa, że większość osób powinna przejść terapię w ośrodku, aby zrozumieć co

się dzieje w nich samych.

Marek od wielu lat nie ćpa. Pytam się go o moment, w którym stał się wolnym człowiekiem. - Takiego momentu nie było nigdy. Wciąż jestem w drodze. Jak jestem z Bogiem to jest dobrze. Jak nie jestem z Nim to jest źle. Sukces nie polega na tym, że od 10 lat niczego nie wzięłem, ale na tym, że zbliżam się każdego dnia do Niego, a On mnie uwalnia. Jestem trudnym dzieckiem Boga. Wiem, że On jest dla mnie jedynym ratunkiem. Gdybym nie miał dzisiaj tej nadziei to idę się zabić. Życie bez nadziei, w lęku jest bez sensu. Czasami płaczę nad sobą, bo nie wiem jak mam żyć, nie wiem co mam dalej robić ze sobą, bo nienawidzę tego co robię. W ośrodku nauczyłem się jednak potępiać to co złe w moim życiu i nie tracić poczucia własnej wartości.

Przez większość czasu jest dobrze. Są momenty trudne jak u każdego. Moja przeszłość sprawia, że konsekwencje moich upadków są większe, ale cała ta sytuacja ma i swoje dobre strony. Widzę wyraźnie kiedy jestem z Bogiem, a kiedy nie. Może przez to, że inni ludzie nie upadli kiedyś aż tak nisko, mają większą skłonność do oszukiwania siebie i usprawiedliwiania się, że nie robią nic złego, a przez to, że nie czują się słabi nie szukają pomocy. Wiele osób dostrzega swoją wartość w swoich działaniach, a to nie zawsze jest wymierne, bo czasami robią rzeczy dobre podczas, gdy wewnątrz są przesiąknięci zazdrością, nienawiścią lub olewają innych.

Marek od wielu lat jest odpowiedzialną osobą. Wciąż szlifuje swój gitarowy warsztat. Ma mądrą żonę, dziecko, dobrą pracę i wielu przyjaciół. Pozostała mu jednak pamiątka ze starego życia – jest nosicielem wirusa HIV. Z żoną nie boją się jednak przyszłości. Mają siebie i Boga. „Wiara jest szaleństwem” – mówi Marek na zakończenie rozmowy.

Maciej Strzyżewski